

Stuszewska, Zofia

Nauczycielskie lata w Zaręczach

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 1, 115-127

1987

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

NAUCZYCIELSKIE LATA W ZARĘBACH

Jeszcze nie zakończyła się najstraszniejsza z wojen, jeszcze bestie hitlerowska dobijają pod Berlinem, a już z nędznymi tobołkami, z walizczkami powiązany mi sznurkiem ciągną do wyzwolonej Warszawy niedawni jej wygnańcy. Widok straszny: gruzy, ruiny, a między nimi i pod nimi — groby poległych. Posuwamy się krok za krokiem wążutką ścieżyną wydeptaną na zwaliskach tego, co kiedyś było ludzkimi siedzibami. Ktoś twierdzi uparcie, że to już Grzybowska. I rzeczywiście — pogięta blaszana tablica z nazwą ulicy jest na to jedynym dowodem. Tu kres wędrówki — nr 23. Dom frontowy zwalony, a na ruinach leży noga mężczyzny w kamaszu i ze szczątkami spodni. Odwracamy oczy od tego straszego widoku. Oficyny ocalały, a nasze mieszkanie właśnie tam. Nawet cieszyć się z tego, że ocalał dach nad głową, nie ma siły. W mieszkaniu pustka. Ze skromnego wprowadzie, ale dorobku całego życia jednak pozostała tylko kupa pierza i sterty potłuczonego szkła, no i obdarta z obicia kanapa bez wałków. Okna z powybijanymi szybami zieją pustką i wczesnowiosennym chłodem. Jak tu żyć w takich warunkach? Od czego zacząć? Żeby jeszcze była mama, ale ona i brat są w obozach pracy III Rzeszy, a ja i ojciec jesteśmy wprost bezradni. Najpierw trzeba jako tako posprzątać. W stercie pierza co rusz znajdujemy jakieś drobiazgi domowe, które sprawiają radość. A te pióra to istny skarb — zadek na przysłą pościel. I tak dzień po dniu odbudowuje się z ruin nowe życie — u nas i w całej Warszawie. W tej bezustannej krzątaninie zastaje nas radosna wieść o kapitulacji Niemiec i zakończeniu wojny. Z dnia na dzień oczekujemy powrotu mamy i brata. A w kilka dni potem wydarzył się tragiczny wypadek, który zmienił bieg mego życia. Kiedy zdawało się, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo i można wreszcie spokojnie odetchnąć — w moich oczach zawała się jedna z oficyn, przylegająca bokiem do naszego domu. Gdy podbiegłam do okna zobaczyłam z przerażeniem, jak dom chwieje się i za moment wali się w gruzy z przeraźliwym łoskotem. Chmura dymu przesłoniła wszystko, a poprzez nią przebijał się okropny, mrozący krew w żyłach krzyk. Zorganizowano natychmiastową pomoc i wyciągnięto spod gruzów wszystkich. Byli zabici i ranni. Grupa rzeczoznawców, która przybyła na miejsce wypadku orzekła, że i nasza kamienica jest niebezpiecznie zarysowana. Odtąd zaczął się dla mnie na nowo koszmar. Nie miałam chwili spokoju. Odruchowo chowałam głowę w ramiona na każdy głośniejszy stuk na niższych piętrach. Najgorsze były bezsenne z nerwowego podniecenia noce. Wbiłam sobie do głowy, że przeżyliśmy wojnę, a teraz znajdziemy grób pod gruzami tej ponurej czynszowej kamienicy. Wreszcie doszło do tego, że musiałam wyjechać gdzieś na wieś, żeby nie popaść w groźną chorobę. I wtedy przypomniało nam się ciche miasteczko Chorzele, z którego wygnała nas do Warszawy wojna. Pojechałam tam raz, drugi, odnalazłam dawnych znajomych, koleżanki z dzieciństwa. Mieścina stała jak dawniej cicha, niby zastygła w bezruchu, jakby nie przetoczyła się nad nią okropna, wojenna zawierucha. I tu pod gościnnym dachem dawnej koleżanki zaczęłam powoli odzyskiwać spokój i równowagę wewnętrzną. Co robić, żeby tu zostać?

Pewnego dnia ojciec koleżanki przyniósł wieść, że we wsi Zaręby, oddalonej

o 16 km, jest do wynajęcia lokal na sklepik, a obok niego mieszkanie. Rada w radę postanawiamy tam jechać. Następnego dnia rano furka jednokonna wiozła nas długo piaszczystym gościńcem między polami i łąkami. Nie przeczuwałam nawet, że jadę ku swemu przeznaczeniu. Wreszcie dojechaliśmy. Nieduża wioska tonęła w zieleni drzew. Jak tu cicho, jak miło, jak bezpiecznie! Pozostać w niej jak najdłużej. Nie wracać już do tej kamiennej pustyni, gdzie nadal czyha śmierć pod gruzami — oto jedyne w tej chwili marzenie.

Mieszkanie i sklepik udało się wynająć za śmiesznie niską cenę. Ale skąd wziąć do niego towaru? Obie przyszłe „panie sklepowe” są gołe jak święty turceki. Ale w sukurs przychodzą ojcowie i tak uzbierał się „wielki kapitał”, że starczyło na kupno worka soli, woreczka cukru, kilku paczek zapalek i bańki nafty. Parę używanych gratów pożyczili rodzice koleżanki i własne gospodarstwo gotowe. Co za radość dla dwu młodych dziewcząt, które przeżyły straszliwą wojnę. Ale nasza spółka z „ograniczoną odpowiedzialnością” coś słabo prosperuje. Ludzie przychodzą sklepik oglądać, lecz prawie nic nie kupują, bo chyba nie mają pieniędzy, tak jak my? Zysku z tego tyle, że z biedą starcza na chleb i talerz jakiejś takiej zupy. Na zapasowy garnek — już nie. Pożyczka go nowa sąsiadka. Inna przynosi koszyk nie wyłuskanej fasoli. I jakoś się żyje. Młodości wiele nie trzeba do szczęścia, tym bardziej, że rośnie grupa przyjaciół. Jednak ta pozornie cicha wieś nie jest wcale taka spokojna, jak się na początku wydawało. Po nocach słychać strzały z pobliskich lasów. Toczy się walka o władzę. Do wsi zajeżdża co rusz wojsko, leje się krew bratobójcza. Padają pierwsze ofiary. Ginie ktoś drogi i bliski. Zostaje po nim puste miejsce w szkole, która co została powołana do życia. I pustka w sercu. Czym ją zapełnić?

Praca w sklepiku nuży, nie daje satysfakcji, okazuje się niewypałem. Rozwiązujemy naszą spółkę handlową i rozjeżdżamy się do rodzinnych domów.

Właśnie niedawno powróciła z przymusowych robót w Niemczech mama, a wkrótce potem — brat. Więc znów jesteśmy razem! Okazuje się jednak, że tamten strach i bezsenność tylko się przyczaiły i teraz znowu, po powrocie do Warszawy, dręczą na nowo. I ludzi tyle już naściagało do stolicy. Jest ją komu dźwigać z ruin. rodzice namawiają, żeby zostać, skończyć szkołę, iść na studia. Nie, nie mogę. Muszę wracać do Zaręb, zając puste miejsce. Tam jeszcze bardziej niż tu potrzebni są ludzie. Przecież namawiano mnie już dawno, bym rzuciła sklepik i została nauczycielką. Wyśmiałam wówczas ten projekt, choć całymi wieczorami pomagałam poprawiać sterty uczniowskich zeszytów.

Zapada nieodwołalna decyzja — jadę do Wydziału Oświaty w Przasnyszu. Moja propozycja objęcia posady nauczycielki w Zarębach zostaje przez inspektorów przyjęta z entuzjazmem. Mam przecież 4 klasy gimnazjum, a to „ogromne”, jak na owe czasy wykształcenie. Podpisałam umowę — stało się!

I tak zostałam wiejską nauczycielką. jak na skrzydłach wracam do Zaręb, wynajmuję mały pokój na poddaszu i zaczynam nowe życie; od świtu do ciemnej nocy dni wypełnione pracą. Pracą, która daje radość, satysfakcję i pochłania bez reszty. A to takie ważne i potrzebne, żeby zapomnieć o tym, co jeszcze bardzo boli.

W pokoiku na poddaszu stoją cudze meble, bo na własne nie stać. Przez pierwsze 3 miesiące nie otrzymuję pensji, ponieważ skarb państwa też jest pusty. Głupstwo, fraszka! Żyje się resztą gotówki, ofiarowanej przez rodziców i tym, co przyniosą dobrzy ludzie, rodzice moich uczniów. Pamiętam swe pierwsze imieniny. Martwiłam się kilka dni naprzód, że starczy mi najwyżej na ciasteczki dla swych wychowanków, ale o najskromniejszym nawet przyjęciu dla

koleżanek — nie było co marzyć. Tymczasem, ledwie przyszedłam ze szkoły, w której dużo było kwiatów i serdecznych życzeń — otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi dwie nauczycielki. Jedna niesie dzbanek kakao, a druga własnoręcznie upieczone pączki. Przy tej wspaniałej uczcie, do której inni dorzucili to i owo ze swych skromnych zapasów, przesiedzieliśmy cały wieczór w świetnym nastroju.

Po trzech miesiącach dostaję pierwszą, skomasowaną pensję — coś około 700 złotych. Toż to cały majątek, ale i potrzeb wiele, więc pieniądze szybko się rozchodzą. Pozostaje za to pewność, że teraz już co miesiąc będzie gotowy grosz na utrzymanie i można spokojnie pracować. Spokojnie — to słowo jest chyba zupełnie nieadekwatne do tamtych, powojennych lat. Spokojnie można teraz, ale nie wtedy. Wtedy były skrzydła u ramion, był zapał, entuzjazm, poświęcenie — coś, o czym dzisiejsi młodzi nauczyciele nie mają nawet pojęcia. A szkoda! Tego jednego mogliby nam pozazdrościć. Entuzjazm, zapał — tak, to piękne, ale kwalifikacji nie zastąpią. Więc trzeba tę całą zbieraninę nauczycielską dokształcić pedagogicznie. Władze szkolne organizują pierwsze kursy nauczycielskie. Ponieważ mam ową wspomnianą już „małą maturę” idę na kurs wyższego stopnia, trwający chyba 3 lata. Kształcenie odbywa się poprzez kursy wakacyjne i zimowe oraz drogą samokształcenia. Praca żmudna, lecz jakże potrzebna. Wreszcie otrzymuję maturę liceum pedagogicznego i kwalifikacje nauczycielskie.

Wiejskie szkoły są podówczas jeszcze bardzo biedne. Wyposażenie w pomoce naukowe — prawie żadne. Kreda i tablica muszą wszystko zastąpić. Właściwie to z tymi tablicami ogromna bieda. Niektóre są tak zdezelowane, że nie można na nich pisać w ogóle, więc pisze się na drzwiach pomalowanych na czarno. Brakuje nawet druków urzędowych. Dzienniki wykreśla się początkowo w zeszytach, a arkusze ocen — na zwykłym papierze. Najgorzej daje się we znaki brak książek. Dzieci chcą czytać a tu nie ma co. (Dzisiaj jest całkiem odwrotnie — jest co czytać, ale dzieci nie chcą). Co tu robić? Ponieważ mam w Warszawie kuzynkę — nauczycielkę, nawiązuję z nią listowny kontakt. Może Wy nam pomożecie — pytam. Pomogli. Przychodzi jedna paczka z książkami, potem druga, trzecia i oto mamy biblioteczkę. Książki różne, ale to nieważne. Grunt, aby było co czytać. I dzieci czytają. A te „dzieci” to również chłopaki pod wąsem i dziewczyny na schwał, niewiele młodsze od swoich nauczycielek. Przyszły przecież do szkoły i te normalne roczniki, i te opóźnione wiekiem, pozbawione przez Niemców polskiej szkoły, jako że teren należał do Rzeszy, a w klasach zamienionych na biura urzędował niemiecki komisarz. To była wspaniała młodzież, żadna wiedza, zdyscyplinowana, związana emocjonalnie z tym, co robiła.

Żeby wzbogacić szkołę w najpotrzebniejsze wyposażenie szukamy i innych sojuszników. Odnajdujemy ich w jednostce wojskowej, stacjonującej w naszej wsi. Nawiązują się nici serdecznej przyjaźni i owocnej współpracy. Żołnierze zbijają nam półki na książki, reperują rozpadające się ławki i stoły, malują izby lekcyjne, fundują szkole kompletnie wyposażoną apteczkę, zwożą drzewo na opał. Dzieci zbierają im jagody i grzyby, urządzają poranki, spotkania.

Ale na samej szkole nie kończy się nasza praca. Jest we wsi tyle młodzieży, trzeba się nią zająć, bo tego od nas oczekują. Koleżanki już od paru miesięcy prowadzą amatorski zespół teatralny. Teraz mąż jednej z nich wrócił z wojny i zabiera żonę do miasta. Muszę ją zastąpić — ale czy potrafię? Inni śmieją się z moich skrupułów. Przecież wszyscy w tym zespole są amatorami. Po naradzie z młodzieżą postanawiamy rozszerzyć naszą „działalność artystyczną” także na

sąsiednie wsie. Wyjeżdżamy z występami do Czarni, Surowego, Brodowych Łąk. Mamy już nawet niewielki zapas gotówki na potrzeby zespołu. W zimie próby odbywają się wieczorami, w szkole. Ale zapaleni do swojej pracy i zachęcani sukcesami młodzi „aktorzy” nie chcą z niej zrezygnować nawet późną wiosną i latem. A tu robota w polu przeciąga się nieraz do zmroku. Więc próby z konieczności odbywają się po zapadnięciu letniego zmierzchu, około godziny 22⁰⁰. A potem przeciągają się do godzin nocnych. Bywało, że kończyły się o pierwszej w nocy. Potem parę godzin snu i na ósmą do szkoły. No, my reżyserki, na ósmą, ale oni wstają do pracy o świcie. Więc kiedy śpią — nie wiem! Wreszcie w naturalny sposób wykrusza się z zespołu i druga koleżanka — jego założycielka. Urodziła dziecko i trudy macierzyństwa nie pozwalają jej dłużej pracować w zespole. Pozostaje sama, ale jakoś daje sobie radę. Gorzej, bo młodzież szkolna pozazdrościła dorosłym i też chce grać. — Zbliży się Boże Narodzenie, niech pani z nami urządzi jasełka — proszą. Takiej prośbie nie można odmówić. A więc rozdanie ról i znów próby. A potem zycie strojów i lepienie skrzydeł anielskich. Całymi wieczorami przez 2 tygodnie w moim ciasnym pokoiku, bo w szkole zimno. Kiedy po skończonej robocie trzeba było wreszcie umyć podłogę, okazało się, że bez skrobania nie poradzi. Za to przedstawienie udało się znakomicie. Była Matka Boska w złocistym diademie, prawdziwa, zbita z desek i pokryta strzechą szopa, byli trzej królowie — monarchowie, pastarze, aniołowie (najpracowitsi) i przedstawiciele całej niemal Polski. I znów wyjazdy w teren saniami po kopnym śniegu. „To były piękne dni, naprawdę piękne dni, nie zna już dziś kalendarz takich dat”.

Na ważniejsze konferencje i zebrania jeździliśmy aż do powiatowego miasta, oddalonego o 40 km. Wyjeżdżało się o godz. 2⁰⁰, 3⁰⁰ w nocy, a wracało około 23⁰⁰. Raz utknęliśmy w zaspie kilkanaście kilometrów za wsią i ani ruszyć dalej. Lejce się urwały, sanki wywróciły i trzeba było wracać do domu. A szkoda, bo konferencje były wówczas ciekawe i dawały kontakt z szerszym światem. Kontakty koleżeńskie utrzymywało się poprzez tzw. konferencje rejonowe ZNP. Ponieważ nasza wieś była gminna i parafialna, stała się ośrodkiem ogniska związkowego. Potem przyłączono nas do Chorzel i krąg znajomych się powiększył. Aby wzajemne kontakty zacieśnić, urządzano się po części oficjalnej wspólne obiady, przeważnie składkowe. Kiedy przyszła kolej na naszą wieś, postanowiliśmy ambitnie: „Nie będziemy żądać składki. Sami zrobimy obiad”. No i zrobiliśmy na zasadzie „zastaw się, ale postaw się”, choć do końca miesiąca trzeba było za ten pański gest dobrze zaciskać pasa.

Pewnego dnia wezwano mnie do urzędu gminnej rady i zaproponowano prowadzenie wiejskiej biblioteki. Powiat już przygotował dla nas zestaw książek i sprzętu, trzeba tylko znaleźć odpowiedni lokal i jechać po wszystko do Przasnysza. Zawsze przepadałam za książkami, więc zgodziłam się bez większego oporu, bo i stułotowe wynagrodzenie też coś znaczyło w budżecie domowym, a tamta cała działalność była wyłącznie społeczna. Za kilka dni pojechalśmy (ja i furman) podwodą. Wróciliśmy późną nocą z regałami i kupą książek. Ponieważ biblioteka miała się mieścić na piętrze budynku gminnego, natychmiast wynikł problem, jak je pownosić na górę. Furman twierdzi, że to nie jego obowiązek, a ja sama nie dam rady. Wreszcie dał się uprosić i pomógł. A gdy było wszystko poznoszone, okazało się, że to nie koniec kłopotów, ponieważ lokal nie został zabezpieczony — prócz zwykłej klamki, nie ma żadnego innego zamknięcia. Teraz już i furman zaangażował się w sprawę i wsadziwszy najpierw parę soczystych przekleństw w gminnych organizatorów imprezy, poradził roz-

trojnie, by zabić drzwi gwoździem i iść spokojnie spać. Zanim znalazł się gwoździ i młotek, na dworze zaczęło świtać. Takie były początki mojej długoletniej pracy w bibliotece gminnej, a potem gromadzkiej. Teraz przybyły nowe wyprawy w teren gminy, celem zorganizowania punktów bibliotecznych.

Z biblioteki korzystały początkowo tylko dzieci, potem wciągała się do czytania młodzież, a w końcu zaczęli ją nieśmiało nawiedzać w jesienne i zimowe wieczory także i starsi czytelnicy. Za udział w licznych konkursach czytelnicych zdobyliśmy wiele dyplomów i wyróżnień.

Po dziesięciu latach pracy mogłam wreszcie na tyle odłożyć, by kupić sobie własne meble: tapczan, stół, krzesła i szafę. To był pierwszy sukces materialny. Ale pracy z roku na rok przybywało. Do szkoły, zespołu amatorskiego, biblioteki doszły jeszcze liczne zajęcia społeczne. Nie było we wsi takiej pracy, do której nie angażowano by nauczycieli: spisy rolne, zbieranie podpisów pod apelami pokoju, zbiórka na fundusz budowy szkół i wiele innych. Często wprost ze szkoły zabierano nas na zebranie do urzędu gminnego, uświadamiano o co chodzi i wysyłano w teren. Nieraz były to akcje jednorazowe, nieraz długotrwałe, jak spisy rolne. Poznałam wtedy cały teren dość rozległej gminy, wszystkie nawet najodleglejsze jej zakątki. Niektóre wyprawy szczególnie utkwiły mi w pamięci, zwłaszcza spis rolny w Łazie. Wyjeżdżało się codziennie rannym świtem furmanką, a wracało późnym wieczorem. Mostek na Płodownicy był dziurawy, a więc nieodmiennie, przez tydzień bodajże powtarzała się ta sama procedura. Furman zatrzymywał wóz pośrodku błotnistej drogi i zsiadaliśmy z niego. Brałam latarnię i szłam przodem oświetlając dziurę w moście a furman ostrożnie prowadził konia. Jakoś nikomu nie przyszło do głowy, żeby ją załatać! Śniadanie zjadałam u siebie w domu, a obiad dostawałam u sołtysa. Były to nieodmienne „skrzechki”, czarny chleb i kawa przygotowana na taborecie w pustym alkierzu. Rodzina wynosiła się wówczas do drugiej izby. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego? Czy żeby mnie nie krępować w spożywaniu posiłku, czy też sami czuli się skrępowani moją obecnością? Najedzeni szliśmy z sołtysem do dalszej roboty. Chodziło się od domu do domu i spisywało ilość posiadanej ziemi, inwentarza, sprzętu rolnego itp.

U dołu arkusza opisany gospodarz powinien był złożyć własnoręczny podpis. Z góry było wiadomo, że nikt się nie podpisze. I wówczas sołtys nieodmiennie składał pisemne oświadczenie: „odmówił podpisu”, zaświadczając to własnym nazwiskiem. Kiedy zaczęliśmy spis w jego zagrodzie, byłam pewna, że ten dość światły rolnik złoży swój podpis pod arkuszem spisowym, skoro tyle razy składał go na cudzych wykazach. Zdziwiła mnie jednak milcząca i dość uroczysta obecność sąsiada. Po dokonaniu spisu ów sąsiad podniósł się bez słowa, podszedł do stołu i napisał na arkuszu: odmówił podpisu. No tego się nie spodziewałam! Rezultat był taki, że w całej wsi nikt, dostownie nikt nie podpisał formularza spisowego.

To samo było przy zbieraniu podpisów pod apelami pokoju. Wchodzimy raz z koleżanką do pierwszego z brzegu mieszkania. W dusznej izbie gromada dzieci i kura z kurczętami. Matka wybiera w piwnicy ziemniaki, a ojciec coś tam majstruje w kącie. Przyjmuje nas grzecznie, podsuwa krzesło, zaprasza do siadania. Siadamy i zaczynamy opowiadać o grozie minionej wojny i znaczeniu pokoju. Mąż woła żonę: „Chodź tu i posłuchaj, co panie mówią”.

— A dyć słyszę, słyszę — odpowiada zapracowana kobieta.

— Chodź i posłuchaj, mówię ci.

Więc kobieta posłusznie gramoli się z piwnicy, siada na brzegu krzesła i naboż-

nie słucha. Słuchają także starsze dzłeci. „No, dobrze idzie — cieszymy się w duchu — ci się podpiszą, bo słuchają z takim skupieniem i zainteresowaniem”. Kiedy mnie już zaschło w gardle, koleżanka kończy podjęty wątek. Wszyscy wzdychają i potakują. Ale podpisów pod apelem złożyć nie chcą.

— Za cara nie było podpisów, za Piłsudskiego też nie, a tera tylko podpiski i podpiski — konkluduje gospodarz. Jak już mój podpis taki potrzebny, to nich pani weźmie książeczkę wojskową, tam jest podpis. I wciska mi w rękę dokument. No i rób tu z takim co chcesz. Oczywiście książeczkę zostawiamy i wychodzimy z poczuciem klęski. Jak tak dalej pójdzie — wrócimy z niczym. Niestety, w każdym domu powtarza się podobna historia. Plonem całodziennej akcji są 2 podpisy — dobre i to. Pod ostatnim domem czeka już na nas podwoda. Z ciężkim sercem wracamy do urzędu gminy, gdzie na nas czekają mimo spóźnionej pory. Trzeba się z akcji rozliczyć. I wtedy okazuje się, że wszystkie grupy miały podobny wynik. Cóż, ludzie są nieufni, ciągle się czegoś boją, we wszystkim wietrzą podstęp i nie pomagają nawet najwznioślejsze słowa. Jedynym lekarstwem może być tylko czas.

Więcej zadowolenia daje praca z Kołem Gospodyń Wiejskich. I choć ze mnie żadna wiejska gospodyni, kobiety wybierają mnie na przewodniczącą swej organizacji. Wymawiamy się, ale nie ustępują. A więc robię co mogę, byle koło rozruszać. Świętujemy uroczystie Dzień Kobiet, organizujemy konkurs na ogródki kwiatowe, działacze kółka rolniczego wygłaszają dla kobiet pogadanki o hodowli drobiu, cieląt itp. Wreszcie Liga Kobiet funduje nam kurs gotowania i pieczenia. Kandydatek zgłasza się nadspodziewanie dużo. Przyjeżdża instruktorka i przez kilka jesiennych wieczorów nic tylko gotujemy, smażymy, pieczemy, dusimy. Na ofiarę idzie kilkumiesięczne cielę, ale zakończenie kursu wypada imponująco. To była dobra robota. Kobiety wiele się nauczyły i pewnie lepiej będą odtąd żywić swoje rodziny.

Z ramienia Koła Gospodyń Wiejskich wysuwają moją kandydaturę do Gminnej Rady Narodowej. Zostaję radną i przewodniczącą Komisji Oświatowej. Myślałam wówczas, że będę mogła niejedną pilną sprawę wiejską i szkolną pchnąć naprzód. Szybko się jednak rozczarowałam. Każde posiedzenie GRN jest do siebie podobne: sprawozdanie przewodniczącego, gotowe wnioski do zatwierdzenia i dyskusja tocząca się wokół wciąż tych samych problemów: budowa mostków na rowach, melioracja, melioracja i jeszcze raz melioracja. Wiem, że to dla rolników sprawy bardzo ważne, ale dlaczego są tacy głusi i obojętni na sprawy kultury i oświaty wiejskiej? Niczego prawie nie mogę przeforsować, choć walczę zażarcie. Chyba nawet zbyt zażarcie, bo wysoka rada czuje się obrażona. Nie chciałam być bierną maszynką do głosowania, więc nie wysuwają już mojej kandydatury w następnych wyborach. Mała szkoda, krótki żal!

Za to władze szkolne powierzają mi dość nieoczekiwane kierownictwo szkoły. Z dnia na dzień odbiera się „rządy” młodziutkiemu koledze, a powierza mnie na mocy odpowiedniego zarządzenia. Kolega, utalentowany rysownik, przyjmuje tę wiadomość spokojnie, a nawet z humorem. Rysuje dowcipny obrazek — oto woźny szkolny przepędza go miotłą ze szkoły, a ja stoję dumna na schodkach z zadartym nosem. Wszyscy się śmieją, ale mnie jest nie do śmiechu. pan Janusz to miły i inteligentny chłopak. Przecież to nie jego wina, że zaraz po ukończeniu liceum pedagogicznego powierzono mu kierownictwo szkoły. Nie miał żadnej praktyki, nic też dziwnego, że nie dawał sobie rady. Ale można to było rozegrać inaczej, a przynajmniej zaczekać do końca roku szkolnego.

Spada na mnie cała masa spraw związanych z administrowaniem szkołą, która już się bardzo rozrosła. Niby drobnych, a jakże trudnych do załatwienia i dokuczliwych: pourywane klamki we drzwiach, brak haczyków w oknach, zdezelowane tablice, zakup i zwózka opału itp. itd. No i sprawa najważniejsza — właściwe zorganizowanie procesu nauczania i wychowania oraz integracja grona nauczycielskiego wokół tych problemów. Początek każdego roku szkolnego przynosi dodatkowe, bardzo pracochłonne zajęcie — ułożenie planu pracy oraz tygodniowego rozkładu zajęć. Cóż to za żmudna i niewdzięczna robota! Jak się zadowoli nauczycieli, likwidując im okienka, to pan inspektor nie chce planu zatwierdzić, bo nie odpowiada takim to a takim postulatom. A jak się te postulaty weźmie pod uwagę, to nauczyciele czują się obrażeni, że im dzień pracy się wydłuża. I tak w kółko. Jednego roku 4 razy woziliam plan do zatwierdzenia — bez skutku. Wreszcie, znużona i zniechęcona złożyłam rezygnację z kierownictwa — i plan został przyjęty. Wprawdzie to już nie te czasy, kiedy do powiatu jeździło się furmanką. Od dwu lat kursuje z Przasnysza do Chorzel przedziwny autobus. Jest to wysoka buda z ławkami po bokach, zatłoczona zawsze do granic możliwości. Dostać się do niego jest nie lada sztuką. Toteż na przystanku w Przasnyszu nieźle prosperują tzw. upychacze. Dasz 20 złotych, to cię jakós wpełchną po wysokich schodkach do tego zbawczego wehikułu, nie dasz — możesz nocować w powiatowym mieście. Potem budę wycofano z obiegu i wprowadzono autobus z prawdziwego zdarzenia. Ale od Chorzel do Zaręb było jeszcze 16 km okrężną, lecz lepszą drogą. W lecie przebywało się ją rowerem. W ten sposób, jako kierownik szkoły i płatnik zarazem woziliam co miesiąc z powiatu nauczycielskie pobory. Pełen nylonowy koszyczek pieniędzy, przyrzucony dla niepoznaki lekką apaszką. Przebywałam owe 16 km krętymi, leśnymi drózkami i ani mi do głowy nie przyszło, że to niebezpieczny proceder. Dopiero znajomy komendant MO przedstawił mi tę sprawę we właściwym świetle, twierdząc, że gdyby mnie ktoś napadł i odebrał pieniądze (ludzkie), musiałby mnie w myśl przepisów prawa, o znowę z rabusiem posądzić i aresztować. Aby uniknąć takiej ewentualności zaczęłam odąd jeździć „z obstawą” w postaci którejś z koleżanek. Pewnego razu przyśniło mi się, że jadę do Zaręb tramwajem, który mknie przez las dzwoniąc wesoło. Trzy dni śmiałam się z tego przywidzenia sennego, a za kilka tygodni gruchnęła po wsi wieść, że zaczynają wreszcie budować szosę. Ukończono ją w roku 1958. Była ogromna uroczystość: honorowa trybuna, wstęga i minister komunikacji. Były też zabawne przysiewki, specjalnie ułożone na tę okazję. A potem radość nie do opisania — pierwszy autobus w naszej wsi. Dzieciaki jeździły nim w te i z powrotem i nie chciały wyjść z pojazdu. A dla dorosłych skończyła się udreka rowerowych dojazdów po rozmiękłych jesienią i wczesną wiosną drożynach.

A szkoła nadal się rozwija — powstaje przy niej tzw. SKR, czyli Szkoła Przysposobienia Rolniczego. Młodzież garnie się do niej chętnie, jest dwudziestu kilku kandydatów. Praca bardzo trudna. Lekcje odbywają się wieczorami. Nauczyciel przedmiotów rolniczych dojeżdża z Chorzel na motorze, ale bardzo niesystematycznie. Czeka się godzinę, półtorej, chłopcy stają na głowach, omal nie rozniosą naszego drewniaka, a nauczyciela nie ma. Trzeba naprędce organizować zastępstwo. Jednak trud się opłaca. Za 2 lata pierwszych 14 uczniów otrzymuje świadectwo ukończenia szkoły rolniczej. Lecz przy następnych zapisach przykra niespodzianka — kandydatów do I klasy jest bardzo niewiele. Młodzież stwierdziła, że szkoła która nie umożliwia pójścia do jakiejś pracy w mie-

ście, po prostu się nie opłaca, bo przecież rolnikiem można zostać bez żadnego przygotowania. Smutne! Trzeba tłumaczyć, przełamywać opory. Zapisuje się za ledwie kilkunastu.

Po piętnastu latach pracy „w uznaniu zasług” otrzymuję od GRN nowe mieszkanie. Przeprowadzam się z pokoiku na poddaszu do pokoju z kuchnią, podzielonego mi w budynku prezydium. Mam nie tylko 2 izby, ale również balkon (jedyne w Zaręczach) i stryżek. Poza tym jest piec kaflowy, więc nie będzie mi już w zimowe noce zamarzać woda w wiadrze. To prawdziwy luksus, tym bardziej, że i odwiedzającą mnie od czasu do czasu rodzinę jest teraz gdzie ulokować.

Od jakiegoś czasu częściej i natrętniej zaczynają nawiedzać mnie wątpliwości, czy mam dostateczne kwalifikacje zawodowe jak na tak „wysokie” stanowiska: kierownik szkoły podstawowej i rolniczej, kierownik biblioteki gminnej. A poza tym jestem już bardzo zmęczona obracaniem się w kieracie tych samych obowiązków i tych samych ludzi. Wprawdzie co wakacje i ferie wyjeżdżam do rodziny, do Warszawy i wtedy z zachłannością prowincjuszki korzystam z dóbr kulturalnych: kino, teatr, koncerty, wystawy. Ale to nie wystarcza na długo. Trzeba nawiązać jakieś kontakty z szerokim światem. Właśnie przeczytałam w „Głosie Nauczycielskim” wzmiankę o rekrutacji na zaoczne studia polonistyczne w Uniwersytecie Warszawskim. To jest właśnie to, o co mi chodziło. Składam podanie i kompletuję potrzebne dokumenty. Moje władze szkolne odnoszą się do sprawy bez entuzjazmu, ale nie przeszkadzają. Po jakimś czasie dostaję z UW odpowiedź, bym się stawiała na egzaminy. Zaczyna się gorączkowe wertowanie podręczników i niepokój, czy zdam? Zdam! Ale to dopiero początek trudnej drogi. A potem pierwsza sesja wakacyjna, nowe znajomości i przyjaźnie i mnóstwo pracy na teraz i na potem.

Wkrótce dochodzę do wniosku, że kierownictwo i studia nie dadzą się pogodzić. Trzeba z czegoś zrezygnować. Ze studiów nigdy! A więc z kierownictwa. Składam jedno podanie po drugim, motywuję i otrzymuję wreszcie upragnione zwolnienie. Uf! co za ulga. Teraz mogę zabrać się porządnie do nauki. Najgorszą przeszkodę stanowi brak światła elektrycznego, gdyż uczyć się można głównie wieczorem i w nocy, we dnie nie ma na to czasu. W miarę narastania materiału brakuje czasu, nawet na posiłki, które trzeba pichcić samemu, gdyż we wsi nie ma żadnej stołówki. A że potrzeba jest matką wynalazków, zaczynam gotować co 3, 4 dni i jakoś żyję. W gorętszych okresach przedegzaminacyjnych pomaga dobra sąsiadka, przysyłając przez dzieci talerz smakowitej zupy. Nigdy jej tego nie zapomnę! Gorzej było ze snem, tu nie pomogą żadne wybiegi. Organizm nie toleruje zarywanych nagminnie nocy i człowiek zasypia nad książką, budzi się, przemywa twarz zimną wodą i czyta dalej, po 150–200 stron lektury dziennie. Tak zawsze lubiłam czytać, a teraz żałuję, że wybrałam polonistykę. Czemu nie historię, nie byłoby tyle pracy. Drugą „piętą achillesową” jest łacina. Żeby utrwalić deklinację i koniugację łacińską sporządzam 2 duże wykresy, wieszam je nad stolikiem, przy którym sprządam i jadam posiłki i dotąd kuje, aż zapamiętuję. Ale przy składni trzeba już prosić o pomoc miejscowego księdza, bardzo kulturalnego i wykształconego człowieka. Jakbym miała jeszcze za mało, Wydział Oświaty narzuca mi nowy obowiązek — zbieranie materiałów gwarowych dla potrzeb PAN. Daremnie wierzęgam przeciwko ościenio-wi. „Jest pani studiującą polonistką, zasiedziała w tej okolicy, więc ktoś to lepiej zrobi jak nie pani” — taka jest mniej więcej odpowiedź na mój sprzeciw. Władze wojewódzkie narzuciły im takie zadanie i ktoś je musi podjąć w termi-

nie. Inna rzecz, że później błogosławiłam tę decyzję, która obciążyła mnie dodatkową pracą, ale za 2 lata stała się inspiracją do napisania pracy magisterskiej. Przy okazji poznałam też jakże ciekawych i wartościowych naukowców — profesora Doroszewskiego i przemiłą panią Barbarę Falińską, która nawet kamień zaraziłaby swoim entuzjazmem do badań gwaroznawczych. Mnie także zaraziła na długie, długie lata.

Pod koniec studiów, kiedy zaczęłam już pisać pracę dyplomową, nasza wieś przeżyła jedno z najdonioślejszych wydarzeń — elektryfikację! Skończyło się ślęczenie przy naftowej lampce. 16 września 1964 roku zabłyśły w naszych domach pierwsze żarówki elektryczne! A w pół roku potem obroniłam swą pracę i uzyskałam dyplom magisterski z bardzo dobrym wynikiem. Po prawie 6 latach ciężkiej harówki! Czułam się szczęśliwa, swobodna i lekka (dosłownie i w przenośni), ponieważ podczas studiów musiałam się wyrzec stopniowo wszystkich dodatkowych płatnych zajęć, nawet ukochanej biblioteki gromadzkiej, nie mówiąc o godzinach nadliczbowych. Pozostały mi tylko czyste pobory, a te były wtedy jeszcze bardzo niewielkie, więc ledwie wiązałam koniec z końcem. To też tylko jeden elektryczny sprzęt domowy — odkurzacz, kupiłam za własne pieniądze, a na lodówkę pożyczyłam od znajomych. Ale to były sprawy drobne, które można nadrobić.

Dalej utrzymywałam kontakty z pracownicą dialektyczną PAN współpracując przy zbieraniu materiałów do słownika gwar mazowiecko-podlaskich. Co parę miesięcy odbywały się spotkania w Warszawie lub w terenie całej tej rzeszy nauczycieli, którzy kosztem własnego odpoczynku bogacili skarbnicę kultury narodowej. Pozostały mi z tego okresu miłe wspomnienia, dobra znajomość kultury regionalnej tych okolic i kilka ślicznych albumów z cennymi dedykacjami.

A tymczasem nasza stara, drewniana szkołka, która jeszcze kilka lat temu doskonale wszystkich mieściła, zaczęła trzeszczeć w szwach. Trzeba było wynająć we wsi dodatkowe izby lekcyjne, co bardzo pogorszyło warunki naszej pracy. Zwłaszcza zimą bieganie z jednej lekcji na drugą po zaspach śnieżnych było bardzo uciążliwe, a jeszcze uciążliwsze nauczanie w wynajętych salach, ciasnych, prymitywnie wyposażonych i ogrzewanych. Pomoce naukowe, których nie było gdzie należycie przechowywać — zjadały myszy. Biblioteka szkolna, upchnięta z trudem w kilku szafach mieściła się za kotarą, odgradzącą izbę lekcyjną. Tam odbywały się lekcje, a tu wypożyczanie, cichuteńko prawie na migi, by nie przeszkadzać uczącym się. Hałaśliwe prace ręczne z chłopcami prowadził nauczyciel na korytarzu. I wtedy nie było mowy o dialogu z uczniami, gdyż każde słowo zagłuszał huk młotków walących w kowadełka. Rezygnowało się wówczas z przygotowanego projektu lekcji i zadawało ciche przepisywanie z podręcznika, a samemu mocno trzymało na wodzy rozdygotane nerwy. Umęczonych do ostateczności okropną ciasnotą i skandalicznymi wprost warunkami pracy, stawiła co jakiś czas na nogi radosna wieść, że już projekt budowy nowej szkoły jest zatwierdzony. Tymczasem mijały lata, a budowę wciąż odraczano „do następnego roku”.

Zaraz po ukończeniu studiów wezwano mnie do Kuratorium i zaproponowano przeniesienie. Dostałam do wyboru adresy kilku szkół średnich w powiatowych miastach dawnego województwa warszawskiego. Propozycja była kusząca. Wszyscy krewni i przyjaciele namawiali mnie do porzucenia Zaręb. Ja sama miałam ich chwilami serdecznie dość. Kiedy pojechałam z tym do Wydziału Oświaty w Przasnyszu, inspektor bardzo się oburzył, że chcę opuścić powiat, który tyle czasułożył na moje utrzymanie. Poza tym obiecał mi piękne mie-

szkanie z wygodami w domu nauczyciela, który powstaje przy nowej szkole. Uwierzyłam i zostałam. A tymczasem na terenie, przeznaczonym pod budowę, jeszcze się krowy pasły. Mnie zaś rada gromadzka zaproponowała przeprowadzkę do tzw. kordonu, gdzie mieszkały 2 rodziny nauczycielskie, ponieważ biuro się rozrastało i moje dotychczasowe mieszkanie było im potrzebne. Aczkolwiek niechętnie, przeniosłam się. Budynek leży w znacznej odległości od szkoły, ale w ślicznym otoczeniu krzewów bzu i zieleni. Dostałam ładny pokój z kuchenką i dobrze mi się tu mieszało. Gorzej, że zdrowie przestało dopisywać. Jedna operacja, za rok druga, potem sanatorium. Coraz słabsze stawały się nerwy, wyczerpane trudną, często niewdzięczną pracą w coraz gorszych warunkach. W zimie do źle zabezpieczonych klas sypał się śnieg przez nieszczerne okna, a żelazne piecyki dawały bardzo nierównomierne ciepło. Często gasły i wtedy trzęśliśmy się z zimna. Najgorsze były wiosny i jesienie, kiedy to sezon ogrzewczy jeszcze się nie zaczął (pomimo dokuczliwego zimna), lub też przedwcześnie kończył się z braku opału. Przez 5, 6 godzin lekcyjnych szczekało się zębami w temperaturze około 10°C i myślało się tylko o jednym — iść do domu, rozpalić pod kuchnią i rozgrzać się trochę. Tak przemarznięta do szpiku kości pojechałam raz na 1 maja do Warszawy. A tam w mieszkaniach ciepłutko, kaloryfery grzeją, jednym słowem — inny świat. U nas na wszystko brakowało pieniędzy. Inni nauczyciele, młodzi, znosili to ze stoickim spokojem, a ja nie mogłam się z tym pogodzić i ciągle popadałam w konflikty ze zmieniającymi się często kierownikami. Zarzucałam im zbyt małą troskę o szkołę, a oni natychmiast odbijali piłeczkę w stronę rady gromadzkiej, rada zaś tłumaczyła się bardzo skąpym budżetem. I na tym się zwykle kończyło, a sytuacja ulegała systematycznemu pogorszeniu.

Wreszcie słowo zaczęło stawać się ciałem i ruszyła z dawna obiecana budowa szkoły i domu nauczyciela! Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Teraz już łatwiej było znieść nawet najgorsze. Kiedy tylko miałyśmy chwilę wolnego czasu, szliśmy na budowę patrzeć jak rośnie nasza szkoła i nasz dom, pierwsze na terenie Zaręb budynki z centralnym ogrzewaniem, bieżącą wodą i kanalizacją. Ale i ta radość wkrótce została zatruta niepokojem, gdy się widziało na nieogrodzonym placu marnotrawstwo materiałów niszczących pod gołym niebem, rozkradanie przez całą niemal wieś płyt styropianowych do zabezpieczenia sufitów, ogromne ilości alkoholu, wypijanego przez robotników i kierownictwo budowy. Wreszcie kierownika budowy zmieniono i sytuacja trochę się poprawiała, ale teraz z kolei wszystkie niedomagania i niedoróbki składane były na tych którzy odeszli. Poza tymi mankamentami budowa postępowała dość szybko i już w lecie przyszłego roku była ukończona. Piętrowa szkoła z 6 izbami lekcyjnymi, 2 pracowniami, świetlicą, kuchnią, piękną salą gimnastyczną, łazienką, szatnią — była prawdziwym skarbem dla tej biednej, kurpiowskiej wsi. Ale nas, nauczycieli, przyciągał jak magnes dom mieszkalny, przeznaczony dla 4 rodzin. Wyłącznie dla rodzin, gdyż składał się z trzy i czteropokojowych zestawów. Oto szumne obietnice pana inspektora rozsypały się jak domek z kart, gdyż dla mnie tam nie było mieszkania, byłam samotna, a dla samotnych się nie buduje; samotny — to człowiek jakby drugiego gatunku, mający wprawdzie takie same obowiązki, ale nie takie same prawa, choć wartość społeczna jego pracy wcale nie jest gorsza, a często dużo lepsza. I jeszcze jedna, gorzka refleksja: jak łatwo jest szafować obietnicami bez pokrycia i jak naiwni są ludzie, którzy w nie wierzą. Traciłam samodzielne mieszkanie w kordonie, który miał być oddany na ośrodek zdrowia i zostawałam po prostu na lodzie po 23 latach pracy w Zaręb-

bach. Co robić? Rada w radę postanowiłyśmy, że trzy zestawy będą dla rodzin, a jeden trzypokojowy — dla samotnych nauczycielek. Zaczęły się przymiarki, gdzie, kto z kim będzie mieszkał. Złożyliśmy do Wydziału Oświaty podania o przydział lokali i czekaliśmy z bijącymi sercami na decyzję. Dom był już wykończony, lśnił lakierem i nowymi farbami, kuśi łazienkami, wannami, błyszczą kranami — a odpowiedź nie nadchodziła. Tak upłynął jeden miesiąc, potem drugi i nic. Wtedy kierownik pojechał z ustną informacją i co się okazało? Nasze podania leżą gdzieś w biurku w ogóle dotąd nie rozpatrywane. W dodatku nie wiadomo, w którym biurku? Zaczęto intensywne poszukiwania i podania odnaleziono. Wówczas pan inspektor siedł przy biurku, podania przeczytał i wydał od ręki iście salomonową decyzję. Ten ma 4 osobową rodzinę — przydziela mu się 40 m² powierzchni mieszkalnej, ten 3 osobową — 30 m², ten 2 osobową — 20 m², osobom samotnym po 10 m². Nie wiadomo było czy się śmiać, czy płakać? Przecież pokoje są różnej wielkości: po 24, 13, 10,6 m². Czy wobec tego jedna osoba ma mieć kawałek przydziałowej powierzchni w mieszkaniu koleżanki? Bzdura. Teraz trzeba było liczyć tylko na siebie. Nie mamy sensownego przydziału, musimy się wprowadzić „na dziko”. Najpierw cichcem (jak złodziej) w niedzielę o świcie wniósł się do nowego budynku kierownik szkoły z rodziną. Ja — na drugi dzień. Potem inne koleżanki. I tak w pamiętnym październiku 1970 r. zaludnił się dom nauczyciela, za kilka dni nastąpiła przeprowadzka szkoły, a za kilka tygodni — uroczyste otwarcie nowego obiektu z udziałem licznych władz.

Tymczasem kordon pozostał pusty, ponieważ usunięto z niego nawet te nauczycielki, dla których mieszkań w nowym domu nie starczyło. Wynajęto im izby na wsi, a pozostawiony bez opieki i dozoru budynek niszczał. Powyrywano w nim klamki, pozdejmowano płyty kuchenne, rozebrano piece, pobito w drobny mak szyby. Za kilka miesięcy był już wewnątrz ruiną. Trudno spokojnie patrzeć na te marnotrawstwo i kiedy żadne rozmowy z lokalnymi władzami nie pomogły, napisałam do „Trybuny Mazowieckiej”. Artykuł zamieścili, owszem, nawet przyjechali, sfotografowali i chyba gdzieś tam interweniowali, ale bez skutku. Za to pewnie wysoko postawieni dygnitarze zarębscy przestali mnie poznać na ulicy. Kosztem ogromnych sum wyremontowano budynek za półtora roku. A tak łatwo można było nie dopuścić do dewastacji. Wystarczyło zostawić w budynku te 2 młode nauczycielki — dopilnowałyby domu, a w budżecie szkolnym, zawsze bardzo skromnym, pozostałaby ładna sumka wydana na opłacenie komornego. Wielu twierdziło, że nic się złego nie stało, bo przecież nie takie pieniądze marnują się gdzie indziej i dobrze. Tylko czy naprawdę dobrze?

Na parę tygodni pochłonoło wszystkich bez reszty urządzenie się w nowej szkole i w nowych mieszkaniach. Ów zestaw dla „samotnych” zajęłyśmy wspólnie z młodą koleżanką. Gdy już wszystko było ustabilizowane zajęły władze i kręcąc nieco nosami zaakceptowały to, co zastały. Ale przydziału na piśmie nie dali. Gorycz wspólnoty łagodziły wygody. Już nie trzeba było ciągnąć ze studni wodę, wynosić zlewy, dźwigać po zaspach wiadra węgla, palić w piecach. Gorzej, że palić w ogóle nie było można, bo kuchnia dymiła niemiłosiernie. I wody w kranach także nie było, centralne chwilowo nie działało, choć był koniec października — jednym słowem „wygody” tylko na pokaz, a nie do użytku. I znów pisemne interwencje do różnych władz, do związku, do partii, przedsiębiorstwa budowlanego, przewodniczącego PRN, do „Trybuny Mazowieckiej”. Poskutkowało. Najpierw przyjechał majster do kuchni. Popatrzył, ro-

ześmiał się, przestawił i wszystko zaczęło grać. Okazało się, że obie kuchnie, na piętrze i parterze dowcipny zdun wpuścił do tego samego powietrza. Ja koleżanka na parterze paliła, to dym wychodził na nasze mieszkanie. Potem popłynęła z rur ciepła woda, można się było po raz pierwszy wykapać we własnej (przepraszam) wspólnej wannie.

Warunki pracy w nowej szkole były nieomal idealne, gdyby nie jej wyposażenie. Znowu nie było na nie pieniędzy, a te które otrzymaliśmy od władz i Petrochemii, to była kropla w morzu potrzeb, w dodatku niezbyt dobrze lokowanych. Dopiero za rok, kiedy w wyniku reformy awansowaliśmy na Zbiorczą Szkołę Gminną w Zarebach dostaliśmy spory zastrzyk pieniężny. To był jedyny „tłusty rok” — prawie na wszystko było nas stać, nawet na wzorzyste zasłony do okien, ścierki, mydło do łazienek, na telewizor i wyszukane pomoce naukowe, z którymi nie bardzo umieliśmy się obchodzić. Ponieważ szkoła była zbiorcza, doszły do nas klasy V–VIII z sąsiednich Mąćic, a potem i dzieci z Łazu. I znowu zrobiło się ciasno, a niektóre klasy liczyły po 40 osób. Dzieci były dowożone do Zareb początkowo ciągnikiem z kółka rolniczego, a potem PKS przedłużył trasę z Zareb do Mąćic i... zaczęło się. Autobus spóźniał się permanentnie. Godzina 8.00 w klasie jest tylko 5 osób na 36. Nie można zaczynać nowej lekcji, więc nauczyciel improwizuje na poczekaniu jakieś przepisywanie, spoglądając niecierpliwie na drogę za oknem. Uczniowie (ta piątka miejscowa) idą za jego przykładem. Wreszcie radosny okrzyk: „Idą, przyjechali”. Zanim rozebrali się w szatni, weszli do klasy, zajęli miejsca — godzina dobiegała końca. Jeszcze jedna zmarnowana bezpowrotnie lekcja! Zimą autobus często-gęsto nie przychodził w ogóle (choć była łagodna i bez zasp) no i dzieci do szkoły nie docierały.

W drugim roku istnienia szkoły znowu odezwała się stara dolegliwość — brak pieniędzy. A więc oszczędność na mydle, ścierkach, pomocach szkolnych i na czym się tylko dało. I najdotkliwsza — na ogrzewaniu, już teraz nie tylko szkoły, lecz i mieszkań nauczycielskich. Chwilami skłonna byłam uwierzyć, że ktoś w złą godzinę rzucił na nas przekleństwo „Bodaj byście w chłody nie znali ciepła”. Surowy reżim oszczędnościowy zmusił do wyłączenia różnych nowoczesnych urządzeń, głównie pryszniców, które w pierwszym roku taką frajdę stanowiły dla dzieci. Kąpali się grupami klasowymi i po takiej zbiorowej myłce, aż przyjemnie było wejść do klasy, tak pachniało czystością porządnie domytych ciał dziecięcych. Niestety, nie trwało to długo z różnych względów. Łazienki także pustoszały, bo jak tu myć ręce, skoro nie ma ani mydła, ani ręcznika?

Tymczasem żąda się od nas wszystkich wdrażania wszelkich możliwych do zastosowania (i niemożliwych) nowoczesnych systemów nauczania i wychowania. Konferencjom, lekcjom pokazowym nie ma końca. A dzieci siedzą w klasie z brudnymi rękoma, nie chcą się uczyć, bo wiedzą, że nawet z kilkoma dwójkami przejdą do następnej klasy, stronią od książek, spóźniają się, wagarują jak nigdy dotąd duchwale i bezkarnie. Jakaż rozbieżność między szumnymi hasłami, pięknymi sprawozdaniami i codzienną rzeczywistością szkolną!

Ponieważ szkoła się rozrosła, przybyło nauczycieli, trzeba wybudować dla nich nowy dom, bo nie mają gdzie mieszkać. Na wprost naszych okien powstaje cztero-rodzinny blok, zasłaniając nam widok na zielone pola i las. Ale to wielka szansa dla szkoły i już ostatnia, bo po nowej reformie administracyjnej traci ona status szkoły gminnej, choć nadal pozostaje zbiorczą. Z dojazdami dzieci z Mąćic jest coraz gorzej. Łaz już się zbuntował i zażądał kategorycznie reaktywowania pełnej szkoły ośmioklasowej na miejscu, jak dawniej. To samo

robią Mącice. Kiedy PKS zawiesza linię Chorzele-Ścięciel nie przysyłają dzieci do szkoły. Trwają pertraktacje z rodzicami. Mówią trudno: nie! Ale władze nie ustępują. A dzieci siedzą w domach i chwala sobie te dodatkowe wakacje. Wreszcie rodzice ustępują i dzieci wracają do naszej zbiorczej szkoły. Dwa razy autobusem, raz pieszo, wreszcie znowu przyczepą, potem znow autobusem, bardzo kapryśnym, któremu byle co przeszkodzi w normalnym kursie, jak owej przysłowiowej baletnicy, której przeszkadza rąbek u spódnicy.

I tak jest właściwie do dziś. Nie ma mocnych na PKS relacji Chorzele-Ścięciel. Ile było różnych interwencji ustnych i pisemnych. Skutkowały, owszem, ale na kilka dni, potem znow wszystko wraca „do normy”.

Opowieść zbliża się ku końcowi. „Moje 40-lecie” ściśle związane z dziejami tej szkoły i wsi nastęrcza wiele refleksji. Tyle się zmieniło. Pamiętam tu stare chałupki kryte słomą, naftowe lampki, piaszczysty gościniec, zimne racuchy kartoflane, zjadane przez dzieci w przerwy lekcyjne. A teraz widzę murowane domy, anteny telewizyjne na dachach, lodówki, motory, gdzieśgdzie nawet samochody i traktory. W zimę lisie czapy i kołnierze, latem „sztruksy” i modne „ciuszki” na chłopcach i dziewczynach, ale ciągle tu jeszcze czegoś brak. Często zastanawiam się — czego? Ta wieś wciąż leży jakby, „daleko od szosy”, choć przebiega ona przez środek wsi. Ludzie, zabiegani około własnych spraw obojętnie przechodzą obok spraw społecznych, wspólnych. Ciągłe pokutuje tu zgubna, a tak często rozpowszechniona maksyma: „Nie dyskutuj, nie podskakuj; siedź spokojnie i przytakuj”. Pewnie, że to bardzo wygodna zasada w życiu osobistym — oszczędza czas, nerwy. Lecz w życiu zbiorowym nie prowadzi do niczego dobrego. Prawda, że bardzo trudno przeciwstawić się, w pojedynkę zwłaszcza, różnym poronionym pomysłom miejscowych decydentów. Tacy właśnie przed laty porozbierali piece kaflowe w starej szkole, a wstawili żelazne piecyki i wykarczowali dzikie róże, które tak pięknie osłaniały jej poczerńiałe ze starości ściany, a posiali wątłe kwiatki, zdeptywane przez rozhasaną dzieciarnię. Niekompetencja, marnotrawstwo, niegospodarność z jednej strony i zupełna obojętność z drugiej — dużo złego wyrządziły naszej wsi. Walczyłam z tym zwyciężenie przez długie lata z różnym skutkiem.

Dzisiaj jestem już zmęczona tą szarpaniną, choć ciągle nieobojętna i nieraz zazdrościć tym, którzy przechodzą spokojnie do porządku dziennego nad wszelkimi przejawami zła. Dopracowałam się emerytury, kilku różnych odznaczeń, nawet Krzyża Kawalerskiego. Nie dorobiłam się natomiast niczego — ani domu, ani samochodu, ani kolorowego telewizora, ani afgańskiego kozuska, a nawet tak modnego obecnie segmentu. Za to dopiero teraz, po trzydziestu kilku latach spędzonych w Zarębach koło Chorzel realizuję swoje dawne marzenia, by poznać choć trochę świat, na którym przyszło mi żyć. W każde nieomal wakacje wyjeżdżam za granicę kosztem dużego reżimu oszczędnościowego, bo dopiero teraz stać mnie na ten wydatek, gdy do emerytury dojdą niewielkie pobory za pracę na 1/3 etatu. Dalej lubię swój zawód i pracuję z przyjemnością, choć na zwolnionych obrotach, co wcale nie oznacza — gorzej.

Mam wygodne mieszkanie z coraz to inną młodą koleżanką do spółki, jakie takie zdrowie — a jednak gorzko mi. Może to zbliżająca się starość, tak różna od pięknej, trudnej, uskrzydłonej młodości mojego pokolenia.